

Pułapka wierności [FELIETON]

Aby się bronić Dziwisz musiałby przyznać, że święty papież mógł w ogóle podejmować błędne decyzje. Tyle tylko, że jeśli czegoś można być pewnym, to tego, iż bezgraniczna wierność Wojtyły i jego pamięci – ów kluczowy i najbardziej szlachetny rys osobowości Dziwisza – nie pozwoli mu na to, aż po jego ostatnie tchnienie – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Wielkimi krokami zbliża się lincz na kardynale Stanisławie Dziwiszu. Emerytowany biskup krakowski już funkcjonuje w domenie publicznej jako „Don Stanislao”, co wymyślili autorzy oskarżycielskiego filmu, zręcznie posługujący się metodą „czarnego piaru”. Zabieg jest oczywiście celowy: idzie o to, aby opinia publiczna, bez wątpienia zbulwersowana odkrywaniem przypadkami deprawacji i libertynizmu katolickiego kleru, właśnie Dziwisza uznała za herszta libertyńsko-homoseksualnej mafii, nie tylko w skali Polski, ale Kościoła Powszechnego. Niegdysiejszy sekretarz papieski, z czasu gdy miała miejsce większość owych odkrywanych dzisiaj skandali, nadaje się do tej roli akuratnie. Po pierwsze dlatego, że w końcu przez 27 lat tkwił w samym centrum Kościoła Powszechnego, nieustannie u boku świętego papieża Jana Pawła II, więc łatwo uznać, że kto jak kto, ale on właśnie „musiał przecież wszystko wiedzieć”. Po drugie, bo takich Sancho Pansów u boku wielkich Don Kichotów lud nigdy nie lubi, a współcześnie zwykł ich zwać „teczkowymi” i posądzać o robienie ciemnych intryg na zapleczu. Po trzecie zaś, bo Dziwisz osobowościowo pasuje do roli kozła ofiarnego. Łatwowierny, niezbyt asertywny i słabo

wygadany, przez co kiepsko się broni przy wytresowanych i agresywnych redaktorach. A przede wszystkim jednowymiarowo skupiony na jednej i tylko jednej rzeczy, która nadała sens całemu jego życiu: na wiernej służbie Karolowi Wojtyłe. Kiedy ją rozpoczął jako młody ksiądz w roku 1966, nie mógł nawet w snach przypuścić, iż będzie to służba dla jednej z najwybitniejszych i najważniejszych postaci XX wieku. Jednak kto cały świat widzi z perspektywy swego bezgranicznego oddania, jest z natury rzeczy podejrzany o celową ślepotę na bieg spraw tego świata, albo co gorsza – o celowe skrywanie ich świetnego widzenia pod maską „pokornej służby”.

*Dziwisz osobowościowo
pasuje do roli kozła ofiarnego.
Łatwowierny, niezbyt
asertywny i słabo wygadany,
przez co kiepsko się broni przy
wytresowanych i agresywnych
redaktorach*

Tyle tylko, że patrząc chłodnym okiem na fakty, trudno znaleźć realny przedmiot owego podejrzenia. Przynajmniej w świetle tych faktów, które dotąd znane są w domenie publicznej.

Propagandowy film wyemitowany przez TVN powraca do sięgającej czasów PRL historii zdeprawowanego księdza z diecezji bielsko-żywieckiej, w którego winę tamtejszy biskup nie był skłonny uwierzyć. Zarzut wobec Dziwisza polega na tym, że wiele lat później – w 2012 roku miał dostać list w tej sprawie, ale się nią nie zajął. Ktokolwiek choć trochę zna stosunki władzy wewnątrzkościelnej wie dobrze, że wchodzenie w sporne kwestie jednej diecezji przez biskupa innej jest ewenementem, jaki zdarza się od wielkiego dzwonu, np. na zarządzenie papieskie (jak ostatnio w Kaliszu). Zresztą sam pomysł, iż można oskarżyć biskupa tylko dlatego, że dostał list o występkach

duchownego nie podlegającego jego jurysdykcji, wygląda na mało sensowny, bo pozwala oskarżyć każdego o cokolwiek. Jednak żadne krwi media nie przejmują się takimi drobiazgami i bez zmrużenia oka (tak jak np. portal OKO.press) zmyślają w żywe oczy, iż chodzi o duchownego z diecezji krakowskiej. W końcu cóż znaczą takie drobiazgi wobec misji dopadnięcia w jakiś sposób „Don Stanislao”?

Podobnie rzeczy się mają ze sławnym, choć niemal nikomu w Polsce nieznanym, watykańskim raportem o sprawie kardynała McCarricka. Dziwisz ma być winien temu, że ów amerykański biskup napisał doń odręczny list, zapewniając o swym uczciwym życiu. Jak stwierdza raport – papieski sekretarz doręczył go Janowi Pawłowi II (ponoć nawet specjalnie kazał go precyzyjnie tłumaczyć dla papieża). I jak wiadomo – papież, po procedurze konsultacji z biskupami USA, powołał zdeprawowanego duchownego na waszyngtońską stolicę biskupią. Ta sprawa jak w soczewce oddaje sedno obecnej nagonki na Dziwisza. Ci, którzy go dziś oskarżają, chcieliby zrzucić nań odpowiedzialność za całą politykę Stolicy Apostolskiej w tamtych czasach, a zwłaszcza za błędne papieskie decyzje personalne. Aby się bronić Dziwisz musiałby przyznać, że święty papież mógł w ogóle podejmować błędne decyzje. Tyle tylko, że jeśli czegoś można być pewnym, to tego właśnie, iż bezgraniczna wierność Wojtyły i jego pamięci – ów kluczowy i najbardziej szlachetny rys osobowości Dziwisza – nie pozwoli mu na to, aż po jego ostatnie tchnienie.

I tak Sancho Pansa wpada w szlachetną pułapkę własnej wierności. Więc jego oskarżyciele bez zmrużenia oka mogą suponować, że owszem, o ile papież mógł „czegoś nie wiedzieć”, albo „być wprowadzony w błąd”, to jego przebiegły sekretarz wiedział wszystko i działał ze świadomą perfidią. Taki pogląd upowszechniany jest zresztą

już nie tylko w Polsce. To w poważnej „Frankfurter Allgemeine Zeitung” można było ostatnio przeczytać jako fakt, iż Dziwisz „mógł chować pod dywan ważne listy do papieża”. Oczywiście informacja pochodzi z Polski, gdyż podaje ją znany warszawski korespondent Gerhard Gnauck. Dziennikarz nie ma żadnego faktu, który by uprawdopodobniał chociaż taką hipotezę. Więc z profesjonalizmem „czarnego piarowca”, który świadomie chce na kogoś rzucić kalumnię, asekuruje się słówkiem „mógł”.

Na antyreligijnej lewicy nie kryją zbytnio tego, że Dziwisz ma być pierwszą ofiarą medialnego linczu, po to, by potem łatwiej się było dobrać do samego papieża

Nietrudno zauważyć, że wszyscy ci, którzy dziś oskarżają sekretarza papieskiego, w tyle głowy mają samego papieża. Tyle tylko, że na antyreligijnej lewicy nie kryją

zbytnio tego, że Dziwisz ma być pierwszą ofiarą medialnego linczu, po to, by potem łatwiej się było dobrać do samego papieża. Z takim właśnie pomysłem lewicowa „Krytyka Polityczna” domagała się uwieżenia i postawienia przed sądem biskupa krakowskiego już jakieś osiem lat temu. A feministki ze „Strajku Kobiet” skandowały ostatnio pod oknem jego mieszkania: „Dziwisz-Wojtyła-wasza-era-się-skończyła”, nie pozostawiając wątpliwości co do swych intencji. Jednak co w tym wszystkim najciekawsze, Dziwisz znalazł się teraz pod ostrzałem z dwóch nacierających nań frontów. Lewica i feministki strzelają doń w nadziei, że w ten sposób uda im się w końcu ustrzelić Wojtyłę. Ale prawica, klerykałowie, a nawet dziennikarscy katolicy „fundamentaliści” również doń strzelają, tyle tylko, że z dokładnie odwrotną motywacją.

Ci chcą mieć Dziwisza jako kozła ofiarnego, gdyż liczą na to, iż w ten sposób ochronią Jana Pawła II. To dlatego czołowy pisowski intelektualista oskarża bez dowodów papieskiego sekretarza o to, iż: „zdradził papieża”. Zaś pozbawiony wyczucia komizmu sytuacyjnego wicepremier, na antenie rozrywkowego radia RMF chce strwożyć krakowskiego kardynała, zapowiadając mu iż: „musi stanąć w prawdzie przed Stwórcą – Panem Bogiem” (zdaje się, iż ów wicepremier takiej perspektywy nie widzi przed samym sobą). Ci oskarżyciele chętnie rzuciliby Dziwisza na pożarcie rozzłoszczonej antyreligijnej ulicy, chcąc ją na tyle zadowolić, aby nie rzuciła się na papieża Wojtyłę. Ale popełniają podwójny błąd. Nie dostrzegają, albo raczej nie chcą dostrzec tego, iż bezgraniczna wierność Karolowi Wojtyłe to nie maska Dziwisza, ale najprawdziwszy sens jego życia, więc tych dwóch nie da się rozłączyć, tak samo jak Don Kichota i Sancho Pansy. A na dodatek nie rozumieją, że antyreligijna ruchawka jest w Polsce na tym etapie, że nie chodzi jej już o tego, czy innego, nawet najważniejszego biskupa, ale o wyrwanie korzenia polskiej religijności, jakim od dwóch pokoleń jest Jan Paweł II.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczdzkiej wsi”